ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE

Pismo dodatkowe do Gazety Korrespondenta Warszawskiego.

we ŚRODĘ D. 30 Listopada. 1825. Nr: 48 *Varietas delectat.*

I.

ULECZONE UROIENIE.

Powieść moralna z dzieł Kocebue, *ofiarowana Młodym Mężatkom.*

(*Dokończenie.*)

Hrabia bynaymniéy nie zmieszany wymówkami *Ludwiki,* upewnił że Zalotnicka iést rozumne stworzenie: i że nigdy nie będzie rozpaczać, iest iuż bowiem w iesieni swego wieku... Swiat o niéy iużby zapomniał, dodał daléy, prosiła mię, abym był nieco dla niéy grzecznym. Nieobyczaynie byłoby, wymówić się od tego. Kupiła sobie mały domek wieyski, dla nadania blasku schadzkom naszym. Jam przedstawiał, że to nie warto tego; gdyż iéy tylko przez ieden miesiąc służyć mogę. Ozdobnie przybrano ów domek, bez moiéy wiedzy i woli; główną rzeczą było, iż musiałem przyrzéc, że będę w nim na wieczerzach, udaiąc wszędzie taiemnicę. To się zaczęło od dnia wczorayszego. Zeby się to iednak odbyło nayskryciéy, Pani *Zalotnicka* zaprosiła tylko pięć swoich przyiaciołek, a mnie niedozwoliła, iak tylko pięciu z sobą przyprowadzić przyiaciół. Poszedłem, udałem, że się naylepiéy bawię; byłem grzeczny, czuły, śmiały; po odiezdzie gości, w pół godziny opuściłem gospodynią. Sądzę, iż to było wszystko, co wymagała przyzwoitość. Pani *Zalotnicka,* wydawała się zachwycaiącą i pewną, że iuż przez cały rok będzie otoczona świetném zgromadzeniem. Sama Pani teraz przyznasz, że mogę opuścić tę damę, bez obawy wyrzutów, a z tąd wnoś, iak umiem się znaleźdź. Sława kobiét tak mi iest drogą, iak moia własna, bardziéy iescze, gdy iéy robię ofiarę z moiéy prożności. To naywiększe nieszczęście dla damy światowey, gdy bywa opuszczoną.— Ja nigdy nieopuszczam, ale umiem taki dać zwrot rzeczom, iż mię opuszczaią.... Wtedy udaię niepocieszonego, i nieraz na dni kilka zamykam się, dla zapewnienia damie, sławy zerwania. Widzisz piękna *Ludwiko,* iż nie wszyscy mężczyzni są tak źli, iak ich okrzyczano, i że między nami znayduią się tacy, co maią zasady i dobre obyczaie.....

...*Ludwika* nie słyszała, ani mówiącego *Wertera* ani *Tomdżona,* spadła lekko z swoich nadpowietrznych obłoków, mówiąc: takieto u WPana zowią się zasady i dobre obyczaie? — Nieinaczéy Pani, ale się te rzadko znayduią, a szczególnieysze baczenie, którém ściągaią, nie iest wielką zaletą dla naszéy młodzieży. Na honor, im więcéy o tém myślę, tém bardziéy życzyłbym dla iéy własnéy korzyści, abyś sobie Pani obrała takiego mężczyznę, iak ia iestem...

...*Ludwika,* w szydzącym tonie rzekła: WPan będziesz szanował móy honor. Jeźlibyś się mną Hrabio unudził, pewniebyś mi zostawił sławę zerwania. — Pani żartuiesz, ale ia nie żartuię, gdy mówię, żeś warta człowieka myślącego, coby umiał cenić ducha i serce. Jéy mąż dobry

człowiek. ale przebóg, nie ma czucia dla iéy wdzięków.... Takiemi i tym podobnemi rozmowami, dał *Hr*: poznać *Ludwice* swóy sposób myślenia i swe zamiary. Ale daremne były usiłowania iego; *Ludwika* była płochą ale cnotliwą. W końcu pełen prawdziwéy czyli też udaney urazy, rzekł do niéy z żywością.

„Zdumiewam się nad Panią, i mocno się zdumiewam; lecz niemam szczęścia należeć do liczby rycerzy romansowych, i nie dla tego przyszedłem tak rano, bym z nią układał plan romansu." Skłonił się, wyszedł, *Ludwika* została iak skamieniała.

Tożto iest mężczyzna, którego nazywaią przyiemnym? — czyni mi honor z oświadczenia, iż mię znayduie dorzeczną; a ieżliby mię znalazł stateczną, popełniłby niedorzeczność, gdyby mię kochał statecznie. Lecz niéma czasu oczekiwać mego skłonienia. Mam się oświadczyć w dwudziestu czterech godzinach, i to termin dłuższy, iak go kiedy dozwalał... O kobiety świata wielkiego, tak się daiecie głęboko poniżać! Ciesz się *Ludwiko*, poznałaś go: Nayw iększém iest upodleniem dla kobiéty, gdy kocha pędziwiatra!....

Tegoż samego dnia po Operze, zgromadził się wielki świat u *Ludwiki*: Szambelan *Pysznicki* przybliżył się do niéy, z miną udaiącą taiemnicę, i szepnął do ucha, że dzisieyszego wieczora ani Hrabia, ani Maior, nie powiększą towarzystwa swoią obecnością.

Tém lepiéy, rzekła *Ludwika*, nie chcę robić przymusu moim przyiaciołom, są nawet ludzie, których natręctwo mnie nudzi. — Jeżli w ich liczbie *Umizgalski*, na długi czas Pani wolna od niego. — Pewnie iego pycha obrażona. — Pycha iego nie do obrażenia, ale ón sam może bydź obrażonym, właśnie Maior dał tego nowe dowody. — Co to iest? nie rozumiem. — Nie przerażay się Pani, wszystko się odbyło w naylepszym porządku. — O Boże! cóż się stało? — Znasz Pani Majora; iest nieco żywy, a Hrabia, pomimo swoiey roztropności, ma czasem tony, które się nie każdemu podobaią. — Jak zwyczaynie, staliśmy wszyscy po Operze, na parterze, słuchaiąc go, iak wszystkie loże przetrząsał, sądził, ganił i chwalił. — Do rzeczy, proszę, do rzeczy. — Posłusznym. — Pytał czy będziemy u maleńkiéy Hrabiny na wieczerzy. Wybacz Pani, tak cię nazywa, zawsze, rzekliśmy, będziemy iéy służyć. Co do mnie, nie póydę, mocnośmy się pokłócili tego poranku. — Co za przyczyna? — Wiedy opowiadał, żeś mu Pani sam na sam wyznaczyła rozmowę, że pierwszy raz iéy uchybił, co mu za złe wzięto: on tego poranku naprawił swoię przestępstwo, chciał nagnać, co był omieszkał, ale Pani udawałaś dziecko, potrzebowałaś czasu, rozwagi, i Bóg nie wié czego. — Tak dalece, że znudzony iéy niepewnością i skrupułami, wręcz ią iak mówi, porzucił. —

Gniew i wstyd, wybuchały z twarzy *Ludwiki*.

Wiedziałem pewnie, dodał *Pysznicki*; że on się tylko chwali, ale byłem tak przezorny, żem milczał. Nasz Maior wziął rzecz ostro, powiedział mu z flegmą, że kłamie. Poczem wyszli oba razem.

Ludwika z niespokoynością: Cóż potém? — Ja udałem się za niemi; Maior został pchniętym w udo. — Cóż się stało z Hrabią? — Ten dostał dwie rany, które go na czas długi zatrzymuią w łóżku. Odprowadziłem go do poiazdu. Widzisz tych młodzików, nigdy nie chcą bydź nauczonemi. Gdyby nie owa opryskl wość, byłby Maior nayprzyiemnieyszym z ludzi. — Byway zdrów przyiacielu, dodał, i nie kręć karku dla kobiet; niemasz bowiem żadnéy, któraby ofiarowała ieden z nayslabszych wdzięków dla kochanka.

Ludwika straciła przytomność, udała, że ią głowa boli; wiemy zaś że ten iest sposób naygrzecznieyszy, pożegnania towarzystwa. Zostawiono ią samą. Rzuciła się na sofę. Jéy piękne oczy rozpływały się we łzach, róż e uczucia rozdzierały iéy serce. — Maior raniony, Hrabia może umrze — poiedynek; z którego się urodzi tysiąc baśni w mieście — gdy mąż się o tém dowié, co na to rzeknie? — To wszystko miotało iéy duszą, a ieżli kiedy niekiedy wpadał tam promyk światła, ten oświecał obraz Maiora, którego wspaniałość robiła wielkie wrażenie na iéy sercu. Tymczasem, wszystko poszło nadspodziewanie. Szambelan powróciwszy do domu, zastał list od Maiora, w którym o-

biecywał, kark mu skręcić, gdyby się odważył, rozgłosić ową okoliczność. Są zaś środki, które samych nawet Szambelanów, do milczenia przywodzą.... Nawet i Hrabia milczał; bo choć częstokroć, odrzucony i upokorzony kochanek, chełpliwiey rozgłasza odebrane względy, iak szczęśliwy, z tém wszystkiem pierwsza iego nieobyczaynośé, tak mu się dała we znaki, iż przez cały miesiąc, błąkał się, nad brzegami Styxu.

Wkrótce Maior, przyszedł do zdrowia. Przy pierwszém widzeniu go, Ludwika doznała łagodnego poruszenia, którego nigdy nieczuła. Naturalnie, miłym nam iest ów człowiek, co życie za nas łoży: ów zaś milszym, za którego ie łożemy. Dobrodzieystwa zawsze obowiązuią mocniey daiącego, iak odbieraiącego; cóż za dziw, że Maior kochał Ludwikę naygoręcéy?— Lecz im więcéy mógł żądać wdzięczności, tém mniéy, odważał się iéy żądać; Zdawało mu się, że utraci uczucie swoiego czynu szlachetnego, gdyby sobie na tém gruntował iakieś zasługę. Milczał i przybliżał się do *Ludwiki* z skromną nieśmiałością.

To też było szczególne, có mogło poruszyć iéy serce; wprawdzie i ona milczała, bo się bała przestąpić granic wdzięczności; lecz iéy przychylne i dobre postępowanie dowiodło, że niechciała bydź niewdzięczną.

A tak zdawało się że wzrastały codziennie skłonności w oboygu. Maior był z czasem śmielszy. Ludwika mniéy skrytą. Oboie poznawali skłonność wzaiemną, i brakowało tylko iakiego małego trafu, któryby przywiódł ich wzaiemne wyznanie miłości.

Ludwikę zachwycała skromność Bohatera. Codzień go więcéy lubiła. — Codzień był więcéy godnym tego; gdy nakoniec zazdrość, ten znaiomy bicz ludzkości, wkradła się do ich związku. Major miał wielką do niéy skłonność, któréy podlegaią wszyscy, którzy czuią mocne namiętności. Co chwila przychodził do niego iaki dobry przyiaciel, co mu coś szepnął do ucha; ten że dostrzegł rzutu oka i oboiętnego *Ludwiki* uśmiechu; drugi dowcipnie rozbierał iéy cnoty, co rozdymało każdą iskrę podeyrzliwości, w płomień szeroko obeymujący. Z zazdrością dzieie się to samo, co i ze strachami; kto w żadne nie wierzy, ten żadnych nie widzi, a kto się ich boi, wszędzie ie upatruie. Major stał się niespokoynym, ponurym, opryskliwym, przykrzyło mu się w towarzystwach; samotność zatruwała goryczą; był dziwaczny, uprzykrzony, kwaśny, gdy *Ludwika* była wesoła, a przymawiał iéy gdy była smutna. Biedna kobieta czuła codziennie, iż więzy z kwiatów przemieniły się w łańcuchy; oto właśnie codziennie musiała słuchać nowych skarg i nowych wyrzutów, każdy grzeczny mężczyzna, wydawał mu się współzawistnikiem, z którym niepowinna się była wdawać.

Ludwika chciała go ułagodzić, ale nadaremnie. On żądał żeby tylko dla niego żyła, prócz niego nikogo nie widziała i zrzekła się całego świata. Lubo był obrońcą sławy *Ludwiki*, niemiał iednak żadnego iunego prawa, do owéy że tak powiedzieć można, przewagi którą sobie przywłaszczał. — W końcu znudzona i zniecierpliwiona, może nawet przerażona *Ludwika*, oświadczyła mu wyraźnie: iż znaiąc co mu iest winna, opuszcza go i żegna na zawsze dla tego, ażeby oszczędzić mu wstydu, z wyrzutów które iéy czynił.

Nowy rodzay motylów otoczył piękną różę, lecz *Ludwika* nie znalazła w żadnym oryginału, który sobie była uroiła... Ten był gapiem gadaiącym iéy niedorzeczności; tamten nadęty, chcący oślepić swemi kleynotami; tu Sygwart szepczący uczucia dobiiaiące; tam mniemany filozof, nudnie rozbieraiący swoię czułość. *Ludwika* wpadła w ponurą posępność która łatwo opanuie serce, nadaremnie szukaiące uczucia, podobnego swemu.

Ah! zawołała, iakże ia nienawidzę tych pisarzów romansowych, którzy mię baykami cackali; maiąc pełną głowę dziwactw romansowych, znalazłam męża zimnym, i nieczułym; ah on naygodnieyszy miłości ze wszystkich, których dotąd widziałam; on zawsze iednakowym. Mało mnie kocha, ale kocha *mnie* tylko. On nie iest, zagorzały, lecz zawsze łagoday i grzeczny. Nie namiętności iednaią szczęście domowe, ale spokoyność! Mamże prawo do iego miłości? kto wie, czy nieutraciłam przyiaźni zaufania, a może i szacun-

ku mego męża? Niepoczuwam się do zbrodni, nieuwaga wieku obłąkała mię i zwiodła. Ale czyż temu uwierzy? Czyż mię usłucha! *Ludwiko* biegniy do niego — Osiągasz się — cóż cię zatrzymuie? boiaźń upokorzenia — czyż niepozostał on szlachetnym w pośród twego obłąkania? czyż cię mniey teraz oszczędzi? gdy z żalem, do niego powrócisz, a choćby się i nieudało, odzyskać iego serca — ten krok, pogodzi cię z tobą samą — Jeszcze nie wszystko stracił, kto nie utracił swego szacunku.

Tak promyk cnoty rozdzielał mgły, które otoczyły niewinną różę. Przedsięwzięła upaśdź do nóg mężowi; serce w niéy biło gdy szła do drzwi iego pokoiu. Już była uchwyciła za klamkę w przedpokoiu, w tém ią wstrzymał wstyd fałszywy. Szelest odciągnął ią nazad. Po dwakroć probowała potem, dwakroć wracała się do siebie. Kto wie, może nie sam był, a choćby tylko lokay z nim się znaydował, nie miała wtedy odwagi mówić z mężem.

Usłyszała, iż zamykaią się drzwi pokoiu męża; nadsłuchiwała troskliwie, szedł przez przedpokóy, zapytał iak się ma Jey mość? dobrze, odpowiedziano mu, za co się rozgniewała w duchu. Już go usłyszała na schodach, pobiegła do okna, by na niego patrzéć przez szybę. Kocz podróżny zaiechał; on wsiadł i zniknął.

O Boże! kocz podróżny zawołała, zadzwoniła. Garderobiana weszła. Czy móy mąż odiechał?— „Kilka dni na wsi zabawi."

Ah! rzekła z westchnieniem, czemuż się tam z nim znaydować nie mogę. Zamknęła się do gabinetu, zapowiedziawszy, iż nieprzyimuie wizyt: napisała do męża dziewięć listów, i wszystkie dziewięć podarła.

Tkliwa niespokoyność zaprowadziła ią wreszcie do pokoiu męża; chciała się tam przynaymniéy znaydować, gdzie on przebywał; chciała siedzieć na iego krześle i bawić się z iego pieskiem. Naypierwéy uderzył ią w oczy, iéy własny obraz w słomianym kapeluszu. Długo przed nim stała, i wpatrywała się z żałością. Nie... nieodrzucił mego obrazu, on i mnie nie odrzuci. Oczy oryginału rozpływały się we łzach; oczy kopii wydawały uśmiech przyiemny. Ey czego się śmieiesz? zawołała *Ludwika*! w tém przyszła iéy myśl do głowy, którą natychmiast przedsiewzięła uskuteczníć.

Zawołano *Pawła*, dawnego sługę Jegomościnego: *Pawle*! rzekła łagodnie *Ludwika*, weź i zanieś do mnie ten obraz! Ach Pani, odezwał się pomieszany, ten obraz iest szczególną pociechą moiego Pana; widziałem, iak przez ciągłe godziny stał przed nim, bo czemuż niemam tego powiedzieć przed Panią, ile razy widziałem, iak płakał przed nim ukradkiém! Ah! nie odbieray mu Pani téy ostatniéy pociechy!

Ludwika się rozrzewniła; — rób co ci każę! obraz będzie na swoiém mieyscu nim Pan powróci.

Paweł z westchnieniem usłuchał rozkazu *Ludwiki*; kazała przywołać malarza, zamknęła się z nim. Po dwóch dniach obraz był na swoiém mieyscu. Mąż nazaiutrz powrócił.

Otwiera drzwi, pierwsze iego spoyrzenie na obraz — widzi go, zastanawia się, przysuwa, — wpada w zadziwienie — czy ma wierzyć oczom; zniknął kapelusz słomiany, włosy ciemne rozczochrane, dziko rozleciały się po ramionach; uśmiechaiący wyraz zniknął w oczach: były one pełne łez, które spadały po bladych policzkach.

Cóż to iest, zawołał poruszony? bydźże to może — rozumiem cię, nieoszacowana żono! iesteś mi znowu powrócona — znowu iesteś moią.

Piorunem leci do *Ludwiki*. W oczekiwaniu smutna siedziała na kanapie. — Zobaczył w istocie to, co pędzel malarza naśladował; rozczochrane włosy, blade policzki i rzewne łzy w oczach. Gdy poznała chód męża w przedpokoiu, chciała wstać, pobiedz na przeciw niemu, ale padła bez sił, chcąc się podnieść z kanapy.

On ukląkł u iéy stóp. — *Ludwiko!* zrozumiałem ciebie. Zaczęła szlochać obiąwszy go za szyię... chciała mówić — dowodzić swoiéy niewinności... zamknął iéy usta, tkliwem pocałowaniem.

Roskoszna chwilo! początku lat słodkich! bo w kilka dni opuścili miasto, i trawili tam swe życie wesoło, gdzie szczęście i pokóy tylko przebywaią: to iest na wsi.

(z R. Lw.)

(Przyszły Ner. Rozm: będzie z 1½ arkusza.